

...taki na przykład Józek, ojciec Kamila Strycharczuka — ten to dopiero jest oldschoolowiec. Choć sam tak siebie nie odbiera. Człowiek starej daty, zaprzeszły, jakby na przekór sobie, psując resztki wzroku, ciągle — jako ostatni w mieście! — ogląda telewizję (trzy kanały TVP, bo więcej nie pójdzie na tym antyku)... za pomocą dzieła sowieckiej myśli technicznej; sam z siebie, nieco masochistycznie, codziennie eksploatuje i ani myśli się rozstać z czarno-białym telewizorkiem junost'. Innego nie chce i nie potrzebuje. Po co? Ten się nie spalił, ani w żaden inny sposób do tej pory nie popsuł, od ponad trzydziestu lat działa bezawaryjnie, ni razu w remoncie nie był, nawet nie próbuje szumieć, śnieżyć, gra zawsze pierwsza klasa, jakby dopiero co z fabryki wyszedł. Tylko durny i burzuj by wymieniał sprawny sprzęt. A że bez kolorów...? Przyzwyczajenie, jak to się mówi, drugą naturą... tak jakoś bezpieczniej, bardziej swojsko, poczciwiej na nim ludzie wyglądają, świat — przyjaźniejszy.

Niech ręka boska broni gardzić, sprzedawać, a już najbardziej: wyrzucić, jak co dobre. Niejeden już się o tym przekonał, zamienił siekierkę na kijek. Rzeczom trzeba dać się wysłużyć, pozwolić zużyć naturalnie. Nie popędząć, bo będzie jak z Waldkiem Marchlewskim, co miał dobrego malucha, ale zamamiła mu się audica "cygaro" z Reichu. I co? Mózg z drzewa potem musieli zeszkrobywać, jak się to cudo od Niemca, pospawane z paru szrotów na trzy podczas jazdy się rozłamało, a on, nieborak, został w tej środkowej, pasażerskiej, od której się przód z tyłem odspoily — i poszeeeeedł ze skarpy, w zagajnik, ciągle, odruchowo, trzymając kierownicę w łapach...

Wiele innych widzę, naraz. Pijacy — najczęściej, rzadziej — narkomani, staruszkowie, złomiarze, adwokaci, komornicy i sklepowe; pojawia mi się nawet przed oczami Marczycha, hiena cmentarna, półgłupia baba borowa, co kradnie wiązanki i okazałe znicze z grobów — w jej mniemaniu — komunistów i złodziei, by zanościć pod figurę Matki Gwadelupeńskiej, co stoi pod kościołem, albo na lumpenmogile swoich rodziców. Upiększa ziemny grób ze zmurszałym krzyżem, przystraja zajumanymi kwiatami.

Jest w tym co robi, zupełnie jak Zychowa, moja dawna sąsiadka, która co wieczór odmawiała dziesiątkę różańca, a miała diabelnie lepkie ręce. Wszystko — dosłownie! — się do nich kleiło. Pewnie i różaniec, co go miętosila w paluchach — był kradziony (na chwałę bożą!).

Patrzę na tyłuż ludzi z mojego Dziuromyśla, kontaktuję się z każdym z osobna, ze wszystkimi naraz. Jednoczę się, jednam, biorę ich w dłonie, pod powieki. Zostają w żyłach. Zaraz — JESTEM na moment nimi, oni — mną i we mnie.

Nie dotykam nikogo, bo przecież nie mam dłoni, jestem jednym wielkim patrzeniem. Widzę całą powierzchnię skóry, narządami wewnętrznymi, w zasadzie mam tylko wzrok.

Rozsiewam się po miasteczku, replikuję i spajam, bogatszy o nieznanne wcześniej doznania.

Scalam się z umysłami innych osób, podkradam ich filozofie, motta, wspomnienia, plany, parafilie, zaburzenia umysłowe, kolorowe delirki, urocze bad tripy, poczciwe fobie.

Zasada podczepienia: chcę i robię to, co tłum. Jestem wiedziony przez niego na manowce. Uwodzony. Poddaję się wszelakim presjom społecznym, tak silnym, że aż zanika moja odrębność, rozpraszam się, rozzwadniam.

Ja? Jaki ja? To słowo na wyrost. Jest śnieżka rzucona na gorącą kuchenną płytę, niknący w odmętach miastoceanu, kruchy stateczek z soli. Krypka głupców.

Ileż doznań, krzyków, prorocत्व, poglądów politycznych, błagań, wyplakanych słów mieści się w jednej chwili Odbioru, Kontaktu!

Biegnę statycznie(!), a ludzie, z którymi nawiązałem telepatyczną łączność — drałują we mnie. Co śmieszniejsze — w różnych kierunkach.

Jestem mrowiskiem, na które kapie toksyczny deszczyk. Panika w środku!

Podgniwam podliniewam leciutko, po czym wracam do dawnej — zbiorowej — formy.

Czuję, jak rośnie, w głębi. Zapuszcza, wczepia korzenie. Wkłuwa się we mnie, zwierzątko.
...powiniennem mieć na imię Antypater. Antypatiusz. Potrafię wzbudzać wyłącznie odrazę, albo gniew.
Najzwyczajniej nie da się mnie lubić.
Egotyk jednołapy, godny pożałowania hiperkaleka, co replikuje się, mimowolnie bawi w Nostradamusa;
co jest jak olbrzymie radio odbierające wiele stacji naraz.
Pomnaża się moja ułomność, na szczęście — nie przenosi się na tych, z którymi mam kontakt. Tyle do-
brego, bo autentycznie załamałbym się, gdybym — nawet niechcący — przyczynił się do czyjejkolwiek
choroby, kalectwa, bólu, cierpienia, czy gdyby choć przez moment jakaś niewinna istotka była skazana na
współodczuwanie tego, co ja: depresji (podragowskiej?), doła, spowodowanej niepełnosprawność...
Dosyć czarnowidztwa, utyskiwania, jęków durnowatych biadolicznych, bo oto łączę się z następną, tym
razem zdrowiuteńką i śliczną kobietą, która — w sprzyjających warunkach CHCIAŁABY mnie, takiego
wybraka, której nie przeszkadzałoby, że jestem towarem z odrzutu, piątej kategorii, dostępnym wyłącznie
w promocji w ciucholandzie, przecenionym o dziewięćdziesiąt dziewięć procent nie-bblem, obarczonym
wadą niefabryczną, z ofiarą kurewskiego magla.
Marta F. (nazwiska nie odbieram dostatecznie wyraźnie), pięknogęba, młoda, do tego — aż dziwne! —
wolna! Skarb, ideał Święta Graalica, Bursztynowa komnatka. Właściwie — pokoiczek, malusieńki i cia-
sny. Bardzo ciasny, nie rozepchany, nie rozjeżdżony przez wielu facetów, którzy mieli to zajebiste szczę-
ście WEJŚĆ. Rozgościć się.
Aż nie mogę uwierzyć, że ktoś taki jak ty chciałby, miał ochotę, nie odrzuciłby, nie wyśmiał, nie wzgar-
dził, nie dał kosza już po pierwszych dwóch spotkaniach, by nie powiedzieć szumnie — randkach. Że
miałaś ochotę tworzyć ze mną związek. Być na dobre i to w chuj złe.
Widzę cię saute, Martuś, bez zbędnych dodatków: ubrań, domu, nazwiska, rodziny, najczyściej i naj-
wyraźniej, jak tylko jestem w stanie, ciebie i tylko ciebie.
Świat, cały kosmos się zawęży do naszej mikroprzestrzeni, bo jest taka; umysł mi szwankuje, wyobraźnia
całkiem zlązła na manowce, w cierniste krzaczory, bo oto wyobrażam sobie nas w... wielkiej konspiracji.
Unosimy się w cieplej i przyjaznej, można rzec: przytulnej przestrzeni, gdzieś pomiędzy gwiazdami — i
musimy się konspirować, udawać posągi.
Patrzy, wszystkoczuje oko groźnej bestii uosabiającej społeczeństwo, ludzi z ich plotkarskimi, roz-
dwojonymi ozorami, z całą gamą, stertą dobrych rad ("rzuć go, to nie jest facet dla ciebie, coś — będziesz
biedować z kaleką"), będące niczym wszelakie przeciwności złośliwego losiska, bo ono — co by nie truli
optymiści — zawsze i dla każdego prędzej czy później okazuje się być złośliwe.
Leżymy-dryfujemy w nieokreślonej przestrzeni, pod okiem Wielkiego Smoka, Strażnika z piekła rodem.
Nawet nie próbuj się uśmiechać! Milcz! Żadnych gwałtownych ruchów!
...przyśnij się, najwolniej, jak potrafisz, milimetr na godzinę się suń, pełnij, zmieniaj się w ospałego
ślimaka z reumatyzmem. Wolniej! Masz wyglądać, jakbyś była zatrzymana w kadrze, na zdjęciu, statycz-
na.
...coraz bliżej jesteś. Wyraźniejsza. Wtulasz się, wrastasz we mnie, zagnieżdżasz się w TYM. Zatapiasz
się iniektorko moja cholerna kochana.
I mam przez moment, dopóki się w pełni nie ocknę, póki trwa czar, czad, następną, realniejszą, niż Kinga,
gerlfrend. O ileż bliższą (bardziej, oczywiście, się nie da!).
Posiadłem ją i posiadam, wchłonąłem, pożarłem całym sobą. Biedna Martuś F., której nigdy nie będzie
dane przyjść na świat.
Dziewczyna fantomowa, owoc szalonego snu, drzewa mającego korę z gotowanego mięsa.

Wczesna noc. Rynuś w żółtawym świetle latarni. Smodzysko, ludzie palą jak wścieknieci czym popadnie:
od pospolitych śmieci, przez pokrajane w kosteczkę dętki i opony rowerów, ciągników, aut, po bitumicz-

ne (!!)

klaki, wełny niemineralne, zawiniątka (poronione, abortowane płody?), stare, ale nie wyszłe z użycia banknoty (niektórym anachronicznym burżujom jest wstyd płacić podniszczonymi pieniędzmi, a plastikowej forsy nie używają z przekonania, wolą poświęcić tych parę stów w miesiącu, niż popełniać w ich mniemaniu gafę, ale może to tylko plotki rozsiewane przez biedaków, którym zawiść uderzyła do głów i w rzeczywistości nic takiego nie ma miejsca).

Ciężka, zimowa atmosfera, kryształki zeszlonego mrozu telepeczą się na niebie, inne, nieco lżejsze — opadają sennie, rosą i ranią, kłują, rozchlapują się, choć są ciałem stałym.

Wyludnienie: pomimo stosunkowo późnej pory jestem tu sam, nie napotykam ani jednego rozkrzyczanego pijusa, bezdomnego, łobuziska, gówniarza, nikt dosłownie, nawet żaden strażnik miejski się nie szwenda w poczciwej kii ceed, o ile w ogóle można się szwendać samochodem.

Nie patrolowane, pozostawione samemu sobie centrum miasteczka. Na pastwę zimy.

Wszyscy — jak się domyślam — dogorywają po wczorajszym, wylewają siódme poty na łóżach boleści, przepacają koce, albo wręcz przeciwnie: ciągną dalej melanz (jak Kinga).

Posylwestrowe gruzowisko, atomowa pustynia, szczątki miasta trzymające się w kupie, ciągle mające jego pierwotny kształt, na pozór — nie do odróżnienia od miasta z przedwczoraj, żyjącego.

Światłą w oknach, stłumiony bełkot gadających telewizorów, szmery, miauczenie dachowców, szczekanie kundli.

...ale jednak to bezludzie, ponure i na swój sposób mistyczne. To miejsce pamięci pozostałe po... NIM. Kimkolwiek nasi-moi niewidzialni złoczyńcy zamierzeli, że będzie: seryjnym mordercą, gwałcicielem, lumpem, złodziejem, zoofilem. Może wszystkimi naraz (to dopiero byłby koleś!).

W kogo przeobraziłby się, gdybym nie postanowił przerwać diabelskiego kręgu, tanów, kołowrotu, wyswobodzić się z kieratu, wziąć sprawy we własną rękę jedyną, jaką mam, nie rozmaglowaną na amen...

Gdybym nie chciał zrobić malutkiego "ciach".

Zsuwam ostrożnie dresy, bo akurat wyszedłem niewyjściowo, w dresach właśnie, wypinam brzuch.

Jest pod spodem, rośnie, wczepieńczyk. Czuję jego strach. A bój się, gnoju, co myślałeś — że się nie odważę, nie będę mieć na tyle jaj, by cię, sukinsynu, pasozycie, wykroić?

Łapa mi drży, jakbym wypił z pięć mocnych kaw jedna po drugiej. Strach? Zawsze jakiś jest, w końcu to ciało. Moje. W nim — ciało obce.

Pierwsze, aua, kurwaa, pierwsze cięcie.

Gładko poszło, flaki mi nie wylazły, nie dyndają jelita, choć chlastałem i chlastam najgłębiej, jak mogę. Na ile pozwala instynkt samozachowawczy.

...i drugie "kuku".

...tutaj... się wżarłeś...

Ma ostre haczyki, bydlę kuliste. Jajuszko, trochę większe od tych, jakie wydalala Kinga.

...no wyyyłaż!

I jest, przyżarluch. Synek, córeczka? Pulpa ostrokolczasta, raczej obupłciowa.

"Wierzga" kończynkami, drapie i kłuje mnie. tatę. Nosiciela. Egzekuto...

Ledwie przytomny z bólu, krwawiąc jak zarzynany wieprzek, nadziewam pierwotnego pasożyta na kijek mocy. Wbijam, przekłuwam potworka. Niemal słyszę, jak "krzyczy", wydaje nieartykułowane in-fra-dźwięki. Ultrabluzgi. Przeklina mnie, podryguje przedśmiertnie i wyzywa od najgorszych.

Tamuję krwotoczysko, przyciskam całą garść ligniny do rany. Co za ból! No tak się załatwić!

...goiło się jak na psie, Kinga, choć początkowo rozbiadolila się, że "coś ty sobie zrobił, debilu?!", wykazała się niezwykłą jak na nią opiekuńczością i nie dość, że zdezynfekowała i zszyla dziurę w podbrzuszu, to jeszcze potem pomagała mi zmieniać opatrunki.

Szło naprawdę ku dobremu gdy już-już zaczynałem wierzyć, że udało się okpić niewidzialnych sadystów,

zrobić w wała miejskie demony — zjawił się chudy i kraśny na twarzy, perkatonosy gostek z magistratu i tonem nieznoszącym sprzeciwu oznajmił, że na mocy uchwały jakiejś tam Rady do Spraw Reurbanizacji Ludności w miejsku, z którego wyciąłem fałszywe, sztuczne (surowe!) dziecko, ma... a właściwie już przebiega ulica imienia majora Franciszka Mełgiewiny, tak: zostaję wywłaszczony ze świeżo tworzącej się blizny, nie jest już ona częścią mojego ciała, przechodzi na własność Generalnej Dyrekcji Infradróg; mam się nie nastawiać na wysokie odszkodowanie, w zasadzie dobrze będzie, jak wypłacą mi cokolwiek powyżej tysiąka za taką ścieżynkę-przelotówkę donikąd, bo i gdzież tym będzie można dojechać? Przeze mnie tylko — i hajda dalej, najlepiej — w Kingę.

Na razie nie planuje się wyasfaltowania dróżyny, to za co najmniej pół roku, albo i w następnym sezonie, klomby się tylko siakieś przewidziało w okolicach podgardla, zwoją drogą — powinienem schudnąć paręnaście tak dla zdrowotności — radził rachityczniak w gajerku. No i oczywiście: ekrany akustyczne, grube na 20 milimetrów panele dźwiękochłonne, coby absorbowały gulgotanie z mego bebecha, tudzież inne dźwięki okołogastryczne.

Tabletki ze znakami drogowymi przyjdą pocztą na dniach. Mam wziąć wszystkie, pod rygiorem odpowiedzialności karnej, popić czystą wodą, niegazowaną. Może być kranówka. Osadzą się, fluorescencyjne, uwolnione z kapsulek, w żołądku.

Za przejścia dla pieszych, jak się może domyślam, będą robić pomalowane również na odblaskowo, żebra. Zabieg — już umówiony, na początku lutego. Nakazuje mi się stawić w przychodni, kornie i karne, bo inaczej — wiadomo — kara za niesubordynację obywatelską, sabotowanie rządowego planu rozbudowy infrastruktury drogowej, do tego — delikatnie ujmując — ostracyzm społeczny ("sąsiedzi zniechęcą takiego hamulcowego, który stopuje tak ważną dla miasta inwestycję, w dodatku bez wyraźnego, jak na przykład wrzody, czy bycie nosicielem wirusowego zapalenia wątroby, powodu" — wieszczył/ groził/ ostrzegał pan biurwa).

I nawet niech mi przez myśl nie przyjdzie zgrywanie Guliwera, czy innego Polifema, puści się zaraz ruch kołowy — i ruchów żadnych, zbędnych, a nawet koniecznych, mam w godzinach otwarcia szlabanów nie wykonywać. Niech mi do głowy nie przyjdzie mścić się, deptać, choćby palcem tknąć któregośkolwiek z kierowców!

Od ósmej rano do dwudziestej trzeciej dwadzieścia wolno mi, a właściwie nakazuje się leżeć, plackiem i najlepiej w pieluchomajtkach, zapewniwszy sobie wcześniej jedzenie i picie na podporządku. Musi być na wyciągnięcie ręki, żebym się niepotrzebnie nie wychylał. Dosłownie.

Zyskuję przywilej nicnierobienia i na dodatek — bycia mega użytecznym, staję się, nie kiwnąwszy nawet palcem (i lepiej, bym tego nie robił bez powodu) kimś tak potrzebnym jak chirurg, i to nie byle jaki, ale światowej sławy, jak renomowany prawnik, co potrafi wygrać najtrudniejszą nawet sprawę, ocalić od stryczka, albo od spędzenia długich lat w mamrze tuzin niewinnie oskarżonych biedaków, jak znany piosenkarz, aktor, ba — jak cała trupa bawiących ludzi artystów, jak pracownik żłobka, pan przedszkolanka, wykładowca uniwersytecki, instruktor prawa jazdy, trener motywacyjny, doradca zawodowy, jak... jak...

...i zaczął mnie owijać dwubarwną taśmą, tasiemką właściwie, biało-czerwoną, tłumacząc, że szlabany są w magazynie, czegoż ma ich nie być, ale chyba felerne z fabryki przyszły, za szerokie i przez to niezgodne z normami unijnymi, poza tym — uwierałyby mnie tylko po założeniu, stanowiły zbędny balast. Bliznę mam wąską i całkiem świeżą, więc na razie wystarczy wstążyna w narodowych kolorach. Tablicę informującą o objeździe już postawił na Radziszewskiego, Solnej, trzecią — na ulicy Grechuty.

Wstałem, próbowałem oponować, ale on zaraz że gdzie mi tu, z mordą, z rykiem, wszelki opór jest daremny, proszę nie utrudniać, kłaść się mam, ale już, kłaść! Leżeć na baczność! Powagi trochę, co ja se myślę — jestem w końcu częścią publicznie dostępnej infrastruktury, nie żadną tam dróżką wewnętrzną, prywatną. Moja świeża blizna niby jest mało istotna, ale prowadzi w końcu do ileż istotniejszych, bardziej wzniosłych miejsc... jak Kinga...

Krzyczę, dobywam głó...

...ale zdaję sobie sprawę, że to faktycznie bez sensu. Znów włączają mi się zdolności prekognicyjne i widzę... swoją pierwszą "użytkowniczkę".

Nie przypominająca, niestety, tak uroczo zmyślonej Marty F., pani w czarnym subaru. Sześćdziesięcioparolatnie, stare, mumijne babsko, prokuratorka chyba, szycha, gruba — literalnie — ryba toczy się majestatycznie ulicą Pegazów.

Nie ma się gdzie spieszyć, nie ucieknę, można spokojnie wlec się suvem-mastodontem nawet i trzydzieści na godzinę, podziwiać uroki rozrastającego się miasteczka.

Miauczająca wokalistka (Sarsa?) podśpiewuje z głośników. Debilny hicior. RMF FM. Baba kaszle, ma alergię na zimę, mróz, lód, śnieg, dusi się, umiera z przeziębienia. Charczy, siąąąąąąka nosem, wdycha woń własnych smarków. I jedzie, nie ma zamiaru zboczyć z trasy, zawrócić.

Już za chwileczkę, już za momencik wgramoli się z niemałym mozołem uterenowioną, miejską landarą po schodach, wjedzie krowiastym subarzyskiem do przedpokojku. I... przeze mnie...

Zrezygnowany siadam na wyrku, podkładam pod plery poduchę, tę dużą, zieloną. Chcę popaść w stupor, wyrobić w sobie marazm, obojętność na otaczający świat. Na moje wnętrze, które za moment stanie się drogą, czymś na kształt — tfu! — małej autostrady.

Bo wiem, co będzie. Kogo zaraz diabli nadadzą: po subarzance przejadą po i przeze mnie kolejno:

- Witek w citroenie C4, nielubiany w pracy budowlaniec
- rodzinka Zaworskich w nowiutkiej, bo zaledwie miesięcznej octavii
- ruda pani, też w skodzie, ale o wiele starszej, felicii
- Waldek w nissanie juke
- stara baba w pożyczonej od wnuczki beemce
- kolejna rodzinka w sedanie, państwo Pruniewiczowie w klasyku: scorpio II "wielorybie"
- grzyb w grzybowozie (głośno myślę: czy uno z 1999 roku to już youngtimer?)
- błyszcząca srebrnym lakierem corolla, za kierownicą której będzie siedzieć błyszczący łysiną pan Marciniuk
- szary i przeciętny pan Sławek w volvo kombi
- Zofia lat 69 w szarym i przeciętnym passacie B5
- dla odmiany — rodzynek: seledynowo-oczojebne mini countryman, którego pierwszą właścicielką była nie kto inny, tylko Natalia Kukulska (obecnie, naprawione po solidnym dzwonie, jest własnością Karoliny P., na stałe mieszkającej w Krakowie instagramowej modelki)
- młodziak w renault zoe
- dziesiątki innych, najprzeróżniejszych aut, do tego — skuterowcy w liczbie dwóch, mrozoodporni faceci, którym nie straszne są złe warunki atmosferyczne.

Słyszę ich, niemal jestem w stanie czuć puls, bicie serc, oddechy, niekoniecznie najświeższe, tych wszystkich ludzi, którzy mają zamiar, jako jedni z pierwszych... skorzystać z nowootwartej drogi, skrócić sobie...

Zamykam ciężkie powieki. Wiem, logika podpowiada, że trzeba walczyć, nie oddawać całego życia, odrębności, jestestwa, kuźwa, człowieczeństwa walkowerem i za friko, nie godzić się na odhumanizowanie tylko dlatego, że paru biurwom zamamiło, że co ze mnie za facet, jeśli nie potrafię zadbać, zatroszczyć się o sprawę tak istotną, że przecież to fundamentalna kwestia, nawet największy masochista z nieleczoną od dwudziestu lat depresją, uważający się za ludzką szmatę do podłogi człeczyna bez poczucia własnej wartości, gdyby przyszło mu być na moim miejscu — NIE odpuściłby; że nie ma istoty na ziemi, która dobrowolnie dałaby sobie wydrzeć... SIEBIE, ale... kapituluję.

Wyrzucę facecika z domu, jeszcze sprzedam liścia, parę kopów, czy pobiję, solidnie nakładę po mordzie? No to wróci z policją, ta — spacyfikuje, paru tresowanych burków rzuci się na mnie, zostaną przyciśnięty kolanem do podłogi, zedrą ubranie — i tyle będzie mojego buntu, wszystko pójdzie zgodnie z planem i nie będę mieć nic do gadania. Przejadą, jak zostało ustalone za moimi plecami, auta, przesuną się, prędzej

czy później, walce drogowe, zjawią się bitumijcy, diabelni robotnicy lejący smołę ze zwirom. Zostanie ułożony chodniczek z kostki Bauma, wytyczona ścieżka rowerowa, prędzej, czy później — drugi pas, wreszcie: rondo oplecie mi szyję niczym pętla, zaciśnie się na niej.

I stanę się, nie mam złudzeń, ludzką wersją domu Pancelszyków, naokoło odeptywany, przedeptywany, przechodzony, każdego dnia będę coraz bardziej płaszczyć się przyjmować kształt nawet nie płastugi, ale głębinowej ryby, co żyje zagrzebana w piachu, albo w mule i czeka na ofiary przywarta do dna. Ryby, której kamuflaż, poza szarością skóry, stanowi właśnie kształt, pozornie lichy. Owo udawane nieistnienie. ...z tym, że nie będę drapieżnikiem, raczej ofiarą systemu, procedur, wywłaszczeniowy, szaleńczych budowniczych dróg i, oczywiście, czortów, co rządzą tym miastem.

Mógłbym stawiać przynajmniej bierny opór, albo choć prosić o zmiłowanie (marne szanse, że cokolwiek dotrze do zabiurwiałego faceciny, nie posądzałbym takiego typu jak on o posiadanie nawet szczątkowego sumienia), czy choć wołał Kingę na pomoc. Niechby wywaliła, ma przecież dwie zdrowe ręce, dziada na zbity pysk, zamknęła drzwi i pod żadnym pozorem nie otwierała nikomu; na kogo w końcu, jak nie na nią mógłbym liczyć w takim nieszczęściu, ale... widzę, że to bez sensu. Ewidentnie jest w zмовie z sukinkotem urzędniczym, mogłem się domyślić, że coś się święci, od rana chodzi wystrojona w najlepsze ciuchy, apaszkę nawet założyła, obwiesiła się jak choinka, chyba ma na sobie całą swoją biżuterię...

Przeperfumowana, że aż w nosie kręci, z bananem na ryju, tańczy dookoła urzędas, szczyrzy się, nadskakuje mu. Jak nic — zaraz zaczniesz przekonywać, że to dla mojego dobra, zamiast siedzieć beczynn timer na rencie, de facto wieść pasożytniczy tryb życia — przydam się w końcu na coś, stanę się społecznie użyteczny...

...jak kosz na śmieci, pisuar, albo toi-toi...

No tak. Eureka. Już rozumiem. Nietrudno było się domyślić, skąd ta jej ekscytacja. Będzie robiła za hotelik na godziny, pewnie oficjalnie zwany zajazdem; za jednoosobowy, jednokurwi burdel.

Obiecali głupiej krowie pewnie niezłe profity z tego tytułu, zamydlili oczy ewentualnymi zyskami. Już marzą się suce tirowcy, biznesmeni na wyjazdach integracyjnych (może nawet będzie miała szczęście i jak ślepej kurze ziarno trafi się jakiś, choć to w tych stronach rzadkość, obcokrajowiec, najlepiej — śniady, Alvaro-latino), albo i tabuny zwykłych, chcących skoczyć w bok od wiecznie gderających żon, szukających przygód, facetów.

Jest napalona, czuję to. Aż kipi w niej, słone, gęste. Dyszy, suchyzsko, nie może się doczekać, kiedy przyjmie pierwszego klienta, ugości, głęboko.

— Przynies zgrzewkę Perły z kuchni. Jakoś, heh, nie mogę się chwilowo ruszyć... — jęczę, jednocześnie błagalnie i z przekąsem.

— Coś pan —zwariował?! Żadnego alkoholu! Życie panu niemiłe, ludzi chcesz pozabijać? Jesteś pan właścicielem drogi —i prawo nakłada na pana obowiązek utrzymania jej w należyтым stanie odśnieżenia. I trzeźwości! — zaperza się biurwokrata —Tu, proszę — maska p-gaz —podaje mi flakopodobny, gumoszmaciany twór ze szklanymi naocznikami.

— Po co to...?

— Spaliny w tak dużym natężeniu mogą panu zaszkodzić.

—Dziękuję, kurwa, bardzo. Wsadź se...

— No już, już... — facecina podchodzi z przymilnym (chyba) uśmiezkiem, zaczyna mnie głaskać po ojcowski po głowie. Albo jak znarowionego żrebaka, zapłakane dziecko, które rozwyło się w piaskownicy, bo mu rówieśnik złośliwie rozwalił świeżo ulepioną babkę...

— Cicho, spokój nas, CIEBIE może uratować. Myśl o unii hipostatycznej, powrocie do natury i zjednoczeniu się z nią, pojednaniu. Jesteś jej częścią. Medytuj. A co to natura? to ten blok, mieszkanie, czajnik w kuchni, okap, telewizor, fotel, rolety, twój tablet. I chłodnice, alufelgi, klamki, drzwi, podwozia, opony aut. Już jadą, zaraz będą na schodach. Nadchodzi sprzymierze...

Nie słucham dalej jego hipnotyzmów. Nie jestem w stanie. Tyle, zaledwie parę zdań wystarczyło, bym

zaczął odpływać. Okazuję się być bardzo podatny na hipnozę. Zaczynam się nagle czuć, jakbym był piłką.

Ostatnie sekundy gry. Podbiega ktoś. I koooooocie z całej siły mnie w głowę.

Słyszę szum jadących aut.

Wypadam poza linie boiska.

Piłka na aucie.

Piłka rozjechana przez auta.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Florian Konrad, dodano 09.08.2021 17:30

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.